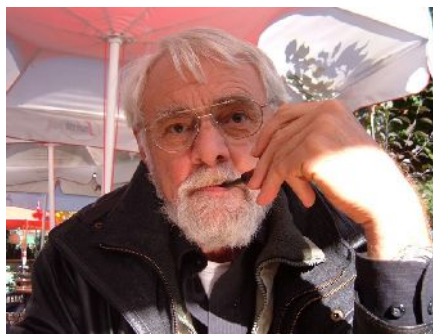


Zamyślenia



Złoty róg Paderewskiego część I

I

Jechałem tam po dar nowych ludzi. Jechałem z daleka już po raz któryś z rzędu. Poetycka Jesień w małej mieścinie – Cieżkowicach. Cóż to za nazwa ciężka... Cieżkowice? Jakby nie wymawiać brzmi niczym sprzeczność cała. A czas był piękny, kąpiel w złocie jesieni, w brązach i czerwieni, właśnie w pianie takiego listowia pod stopami. Maszerowałem z ciężkim plecakiem tomików wierszy od stacji kolejowej do tego miejsca, do którego pięła się w górę pokrętna uliczka, prosto na rynek obłożony straganami, bo był to targowy dzień. Z kwadratowego rynku widok na szeroko rozwarte ramiona ciężkowieckiego rezerwatu. Tam daleko Skamieniałe Miasto. Obok zakłęta czarownica zadomowiła się na skalnym urwisku. Jej dusza czarna, ongiś stanąłem na jej łbie. Dołem jak wąż, wił się potok Biała, obchodząc w meandrach kamień szczęścia, który spoczywał na jej dnie. Dawno już wydeptałem ścieżki tych okolic i wszystkie tutejsze pejzaże wrosły w moje oczy na stałe. Poeci są zawsze w drodze, niczym, wytrawni piechurzy, pozostawiając za sobą szczególnie ślady. Bywając tu, usiłowałem je odszukać, ale rozeschłe w podróży i wędrówkach kamasze, ścierały na proch przyzwoite obuwie turystów. Zszedłszy biegnącą w dół uliczką, przekroczyłem asfaltową drogę, most na Białce i nasyp kolejowy bez zapory drogowej, czyli niestrzeżony. Po lewej nieczynny browar, za nim zarośnięty staw, za którym bieleły się ściany dworku Paderewskiego. Kamienny smutek po wielkim gospodarzu. Wszedłem do środka dworku niczym skalny ostaniec schodzący ze wzgórza na przekór starej legendzie. W portierni nie było nikogo. Usiadłem pod starym zegarem w hollu, zastanawiając się, czy też jego wnętrza, gdyby się tak po zegarmistrzowsku postarać, można wytrząsnąć owe sprężynowe zwoje czasu, aby odległe chwile zawiesić, jak wieszta fotograf wywołane filmy. Czy istnieją takie wywoławcze pamięci, gdzie człowiek znajduje na kliszach swoje i innych miejsce? Miejsca wszystkie, umiejscowione w klatkach światów odeszłych i czasami dziwnych. Byłem

chyba pierwszy, który zjechał na ten poetycki spęd. Wokoło panowała cisza. Każda taka cisza daje obraz właściwy i rzeczywisty. Byłem zmęczony tą długą drogą z Hamburga aż tu. Prawie dwadzieścia cztery godziny w zatłoczonym autobusie. Od paru lat dworek Ignacego obdarowywany był coraz nowymi ludźmi, których istnienie nadaje sens literackiemu żywotowi, choć pozostają oni potem tam, skąd przybyli, tak bardzo osobni. Przybliżyć wam ich twarze... Adam Szyper z New Jersey, Karl Grenzler z Hamm, Dorota Jaworska z Kijowa, Vera Kopecka z Czech, czy Jan Dydusiak-Szokalski z Australii, wspominając też serdecznie Lam Quang My z Wietnamu. To nie wszyscy na tej Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej. Znow się pojawią, jak bywało to od paru ładnych lat. Poczekam na nich, przed nimi dłuższa droga. Gwiazdozbiory jesieni... Byłem cholernie zmęczony i najchętniej widziałbym łóżko w którymś pokoju dworku. Wiersze moich przyjaciół to zaiste tajemniczy świat. Oni wiozą te światy w podróży bagażach, czytając je potem w skromnych salkach małomiasteczkowych bibliotek. Odkąd pamiętam zawsze obdarzony byłem takimi właśnie ludźmi. Ich istnienie gdzieś tam daleko, nadaje sens mojemu życiu, choć ostatecznie pozostajemy gdzieś tam oddzieleni od siebie. Wyciosywałem z siebie resztkę sił, aby nie usnąć w tym miejscu. Ktoś się chyba pojawi, aby mógł „zamustrować” się na pokład tej literackiej łodzi.

Po przeciwległej stronie na ścianie portret Paderewskiego. Czy zawsze tu wisiał? Teraz dokładniej przyjrzałem się jego twarzy. Ludzie o wielkiej mądrości, ludzie sztuki, sprawiają czasami wrażenie nieczyłych. W każdym razie jest w nich jakaś forma dystansu. Ale tej twarzy należało zaufać. Dziś, kiedy świat poszedł tak daleko, że liczy się jedynie technika i produkcja, pieniądź, ta nowa niby cywilizacja odrzuca wszelkie wartości duchowe. Wielka góra, z której się schodzi, miast iść wyżej i wyżej.

– Chwileczkę, co waść tu robi, młody człowieku?

Cholera, nie przesłyszałem się, to pewne. Dystyngowany na portrecie pan Paderewski zwracał się wyraźnie do mnie z tym zagadkowym uśmiechem. Przemówił z portretu i poczułem się nieswojo tą nadprzyrodzoną chwilą, jakbym został złapany na gorącym uczynku. W oczach mistrza dostrzegłem jednak pewien fizyczny stan łaskawości:

– Zapytałem jedynie z prostej ciekawości, młody człowieku. Ten mój mały dworek zawsze, zawsze podejmował gości z wdzięcznością za trudy drogi dotarcia tu, traktując ich jako najmilszych gości.

Patrzyłem na śniadą twarz gospodarza z tą, zdawać się mogło wzburzoną fryzurą siwiuteńkich włosów i chwila ta trwała. Nie byłem pewny, czy była to chwila rzeczywista na jawie, czy też wyjęta ze snu. Z mordegi snu wywołanego zmęczeniem, podróżą. Ale ja nie spałem, to nie był sen! Ciepły tembr głosu mistrza uwalniał od wszystkiego, od zmęczenia także. Wstałem z krzesła i stojąc teraz przed mistrzem, który zszedł z ram portretu, nie wiedziałem jak mam się zachować.

– No, młody człowieku udający wystraszonego. Ja nie gryzę i nauczyłem tego moje psy witające gości. Jawa nie jest najgorszym zajęciem, co może się nam wydarzyć podczas najtwardszego snu. Jesteś pan jednym z tych poetów, którzy tu się jawią jesienią od paru lat i dobrze. A gdzież reszta tego towarzystwa?

Stojąca przede mną postać mistrza była nader realna i rzeczywista, że chwilę tę przedłużyłbym nawet po przebudzeniu, a przecież ja nie spałem, nie śniłem tego wszystkiego.

– Reszta towarzystwa – wyraźnie przeciągałem słowa, wpatrzony w jego postać – reszta zapewne zaraz się tu pojawi, należy tylko poczekać...

– A może zatrzymali się w kościele obok rynku? Dziś jest dzień modłów za wolną ojczyznę. Myślę, że w całej naszej ojczyźnie tak wygląda dzień dziękczynienia.

– Tak, z całą pewnością – potwierdziłem, przeciągając słowa.

Spojrzałem na portret. Blejtram w ramach był pusty błyszcząc białą farbą podkładową.

– A ty, młody człowieku zrejterowałeś i nie poszedłeś na dziękczynienie. Rozpadało się, wieś teraz ciemna, biedna w całym błocie, droga do kościoła wiedzie pod górę. Cóż, każę zaprzęgnąć konie do kolaski. – Mówiąc to podszedł do drzwi i zawołał donośnym głosem: – Grabowski, racz zaprzęgnąć Pegaż, wybieramy się do kościoła. Mości Grabowski, słyszycie mnie?!

II

Stałem przed mistrzem zadziwiony prostotą prawdy jego konstatacji o biedzie tych stron, błotnistych drogach wiodących ciągle pod górę. Było w tym poczucie więzi z tymi stronami i ludźmi. Przysłuchując się rozmowie podczas drogi z woźnicą Grabowskim, obaj byli niczym dwa instrumenty ludowej kapeli dodające sobie ton.

– Czy wiesz, młody człowieku, że on też jest poetą? Kto ma wiarę w sobie i poezję, ten ma wszystko. Poezja jest drogą ku ocaleniu słowa.

Konie z mozołem pięły się pod górę. Czulem w sobie cały czas tę wartość zwątpienia, że to nie jawa, a tylko sen. Paradoks jednego i drugiego. Trudziłem się nad tym w myślach, słuchając ich rozmowy i ciapkaniny końskich kopyt w błocie. Wszystko we mnie było rozsypane, czulem nawet odmowę udziału w tym, co wokół mnie, która mnie się przydarzyła. Dlaczego właśnie mnie? W końcu zajechaliśmy przed kościół, który ku mojemu zdumieniu był pusty. Stałem w przedsionku zwanego nawą, kiedy mistrz kroczył pośród pustych ław, gestami rąk odpowiadając zapewne na gesty powitanie i głuche owacje. Wytężyłem słuch, ale w kościele panowała zaiste biblioteczna cisza. Jeden z moich przyjaciół po piórze mawiał, że ciągnie go czasem do kościoła ze względu właśnie na biblioteczna ciszę.

cdn.

Kazimierz Iwosse